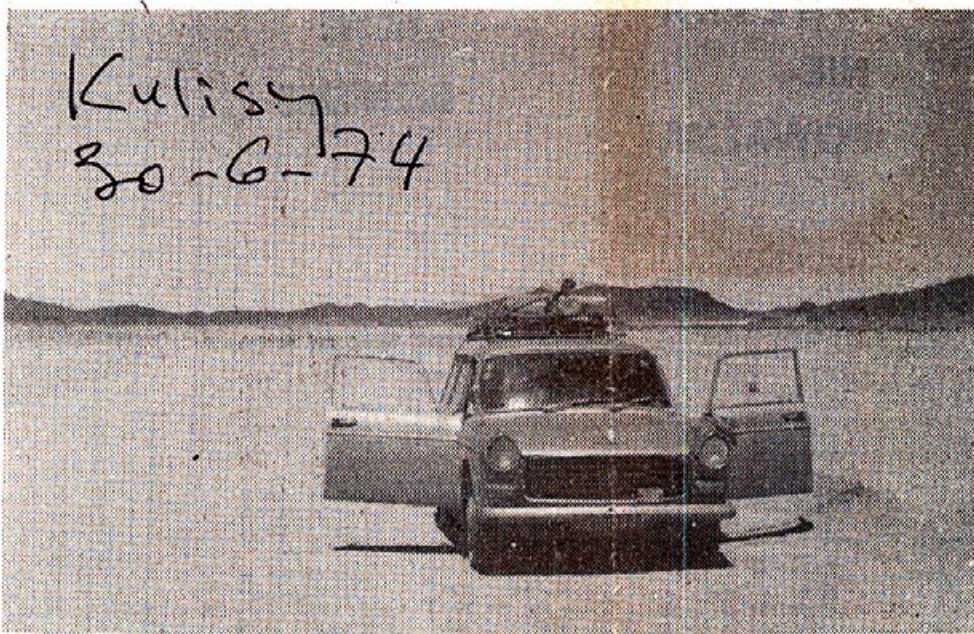


NIESKONCZENIE

DŁUGA DROGA

KORESPONDENCJA
WŁASNA

Jacek E.
Pałkiewicz



Peugeot na Saharze

Po raz pierwszy o wyprawie przez Saharę zacząłem myśleć latem ubiegłego roku. Objechałem wtedy zachodnie wybrzeże Afryki i do pełni szczęścia pozostało mi zaliczyć największą pustynię świata oraz polowanie w Kenii. Nie bardzo jeszcze wtedy wiedziałem, w jaki sposób mógłbym się tam wybrać. Ci, którzy już byli na Czarnym Lądzie, mówią o chorobie Afryki. Dużo w tym prawdy. Po powrocie do Europy zatrzymałem się we Włoszech, gdzie coraz częściej zacząłem rozmyślać nad realizacją tego przedsięwzięcia. W grę wchodziły cztery warianty: jedna z licznych wycieczek organizowanych dzisiaj przez biura podróży, kupno lub pożyczanie Land Rovera, zabranie się autem znajomych bądź też autostop. W połowie stycznia zdecydowałem się na wariant ostatni. Wycieczka odpadła, bo podziwianie oaz i pustyni z okien samolotu i autokaru to może i dobre, ale dla amerykańskiego turysty, przyzwyczajonego do pełnego komfortu nawet na camping. Kupno jak i wypożyczenie Land Rovera wiązało się ze sporym wydatkiem. Odpadła też trzecia możliwość. Jak na złość nikt z moich włoskich przyjaciół nie wybierał się w tamtą stronę. Owszem, jechali, ale w zupełnie innych kierunkach: Leningrad, Iran, Turcja. Pozostało zatem liczyć na przypadkowe okazje.

Chcąc zdążyć przejechać Saharę przed największą gorączką, musiałem zabrać się do energicznych przygotowań. Na pierwszy ogień poszły wize. I tutaj zaczęły się już problemy. Ja, niby zaharowany w wizowych bojach, zachowałem się jak pierwszoklasista. Zaplanowałem, że na zebranie wszystkich pieczęci w paszporcie wystarczy mi miesiąc. W tym czasie skompletuję ekwipunek, spotkam się z ludźmi, którzy byli w tamtych stronach, przestudiuję literaturę fachową. Wnet okazało się jednak, że wize to problem, opisane którego zajęłoby przynajmniej cały duży rozdział książki.

Zacząłem od lektury książki telefonicznej, w której wyszukałem adresy konsulatów w Mediolanie. Jadę do przedstawicielstwa Wielkiej Brytanii, jako że ono reprezentuje Kenię i Ugandę. Po trzy formularze i trzy fotografie na każdy z tych krajów. Urzędnik sądzi, że za sześć tygodni wize powinny być gotowe. Przeraziłem

się. „Czy nie można nie wskórać, aby otrzymać je w przeciągu miesiąca?” O tym, nie ma mowy. Wprost przeciwnie, nie ma żadnej gwarancji, że odpowiedź, nadejdzie w ciągu półtora miesiąca. Drugi konsulat to Republika Srodkowoafrykańska. Tu zmienia mi się humor. Za tydzień mam wrócić po odbiór wize. Wieczorem wsiałam w pociąg do Rzymu, bo tam mieszczą się pozostałe placówki dyplomatyczne.

Sudańczyk gotów jest mi przystawić pieczęć nawet jutro, ale muszę pokazać powrotny bilet lotniczy. Jadę autem. Zatem musi pan wypełnić jeszcze jeden formularz i wiza może być gotowa nie wcześniej niż za dwa miesiące. Próbuję prosić, przekonywać, ale nie odnosi to żadnego skutku. Tam, w Afryce, może pan bez porównania szybciej otrzymać naszą wizę, pociesza mnie na zakończenie. Algierczycy dwa tygodnie. Pędem jeszcze do ambasady Maroka. Jest już późno, ale może uda mi się zdążyć?

Planowany wyjazd za półtora miesiąca? — upewnia się uroczą Marokanka. Dziś stanowczo za wcześniej, proszę przyjechać na dwa tygodnie przed wyjazdem. Następnego dnia już o 8.30 waruję przed konsulem francuskim. Jak na złość ci otwierają półtorej godziny później od innych. Tu należy załatwić wize Nigru i Czadu. Niewiele brakowało, aby już na wstępie odprawiono mnie z kwitkiem. Dwanaście fotografii. Absolutny rekord.

Przed południem zdążyłem jeszcze do ambasady Zairu. Czarna jak heban dziewczyna obejrzała dokładnie paszport i po długim namyśle oświadczyła, że w Rzymie nie może ubiegać się o wizę. Trzeba to zrobić w swoim kraju. W Warszawie nie ma waszej placówki. Jest w Moskwie — sprawa w swojej księdze. Nie ma innego wyboru, musi pan jechać do Moskwy, odpowiada beztrudno dziewczyna. Nie dane zatem mi będzie odwiedzenie tego kraju.

Na szczęście lista konsulatów została zamknięta. Gdybym miał jeszcze jeździć gdziekolwiek, to chyba nie wtrzymalbym już nerwowo. Przystępuję więc do drugiego etapu przygotowań. Studiuję literaturę fachową, historie wypraw saharijskich. Wybieram się do Livorno, gdzie na miejscowym bazarze można stosunkowo tanio zaopatrzyć się w ekwipunek armii amerykańskiej. Następnego dnia

larguję się żarliwie, jak zresztą każdy Włoch. Pierwszą rzeczą to ogromny plecak. Następnie ubijam w nim spodnie i bluzy spadochroniarską (są praktyczne, bo mają kilkanaście kieszeni), buty ze spinaczami, sweter, grube welniane skarpety, kocher, misę, orzybory do jedzenia, czapkę dżokejkę, kask kolonialny, torbę wojskową i na końcu doskonały, bardzo lekki śpiwór.

Po dokonaniu ostatnich zakupów w Supersamie (2 kg konserw, salami, sera) spróbowałem zważyć mój plecak. Z przerażeniem stwierdziłem, że wskazówka wagi zatrzymała się dokładnie na



Autor korespondencji
na Zwrotniku Raka

cyfrze 26. To na pewno dużo, ale na dwumiesięczną podróż zabrałem tylko ekwipunek niezbędny. Nic stąd nie można już odjąć.

Jest połowa marca, zamierzam ruszyć w drogę. Jadę jeszcze do Rzymu po wize Maroka i Algierii, no i oczywiście tranzytowe: Francji i Hiszpanii. W brzydkim, deszczowym ranku dzwonię do drzwi ambasady algierskiej. Nie ma jeszcze pracownika konsultatu, oświadcza starszy pan. Przecież już po dziewiątej, nie wiem dlaczego próbuje dyskutować. Z goźlnym opóźnieniem zjawia się urzędniczka konsultatu. Długo przegląda dokumenty. Niemożliwe, aby pan złożył u nas kwestionariusze. Zaczyna się coś we mnie burzyć. Jak to? Obiecano wizę za dwa tygodnie, dziś upły-

wa półtora miesiąca a pani twierdzi, że nie ma żadnego śladu mojej wizyty. Proszę zaprowadzić mnie do konsula, mój ton był teraz prawie niegrzeczny. Chwileczkę! Wróciła po chwili. Jeśli wypełni pan teraz trzy kwestionariusze, to załatwię panu wizę za pięć dni. Pani chyba żartuje, nie spuszczałem z tonu. Przeprosiła mnie raz jeszcze. Po pięciu minutach weszła rozpromieniona. Zrobię panu przystługę. Proszę do wypełnić i damy wizę od ręki. Później, już w Afryce, okaże się, że to była tylko namiastka wizowych trudności.

W Maroku nie zatrzymałem się długo. Jak najprędzej chciałem się już znaleźć na „trasie”. Autobus z Rabatu do Fes. Potem ubity do maksimum pełen całej gamy zapaszków pociąg zdążający do Oujda. W połowie drogi opróżniło się jedno miejsce w przedziale, obok którego stałem na korytarzu. Wszedłem do środka, chciałem usiąść, gdy jakiś głos ostrzegł: „zajęte”. Wycofałem się. Po pół godzinie spróbowałem zająć miejsce ponownie. Usłyszałem zgrzyt sprężynowego noża i ten sam głos: „mówiłem już przeciąż, że zajęte”. Po ośmiu godzinach byłem w Oujda.

Jeszcze tylko 400 km autobusem do Figuig. Cudem udało mi się dostać miejsce, bo już od kilku godzin nie było biletów. Autobus kończy trasę w oazie Zenaga. Stąd do granicy już tylko 3 km. Zatrzymuję się na noc w miejscowym hotelu.

Rano skoro świt ruszam w stronę punktu granicznego. Po 2 km przy drodze wojskowy namiot. Zatrzymują mnie. Uważna kontrola paszportu i... muszę wrócić do Figuig. Nie mam pieczątki żandarmerii potwierdzającej opuszczenie Maroka. Skąd mogłem przypuszczać, że już na kilka kilometrów przed granicą muszę zdobyć tę przeklętą pieczęć? Muszę zatem wrócić do miasteczka. Żołnierze są uparci. Mam zabrać swój bagaż, bo tam też dokonuje się odprawy celnej. Kląć na biurokrację graniczną ruszam w drogę powrotną. Jest już godzina ósma. Słońce przygrzewa coraz mocniej, a góra bagażu na plecach z każdym kilometrem waży coraz więcej. W żandarmerii wypełniam druczek — opuszczenia terytorium Maroka, ostemplowują mi paszport i jestem już wolny. Tego ranka przemaszerowałem ponad 10 km.

Formalności na granicy zajęły więcej niż godzinę. Odbierałem już paszport, gdy przed szlabanem granicznym zatrzymał się samotny turysta w Renault z francuską rejestracją. Jedzie sam i chętnie mnie zabierze. Okazuje się, że Daniel Cracco pracuje w Maroku jako nauczyciel w ramach kooperacji francusko-marokańskiej. Na Saharę wybiera się po raz wtóry. Po kilku kilometrach polnej drogi dojeżdżamy do algierskiego punktu granicznego Ben Ounif. Stoi tu już kilka aut. Wypadnie więc poczekać. Po wypełnieniu kwestionariuszy, ubezpieczeniu pojazdu, rozpakowaniu wszystkich bagażów (celnicy szukali wytrwale broni) mogliśmy jechać dalej.

„Jesteśmy zatem na Saharze”, głos Daniela zdradza oznaki podniecenia. Mnie trudno się jest pogodzić z tą myślą, bo dookoła niby żółty piasek, ale przed nami wciąż piękna, ośmiometrowej szerokości szosa. Strzałka szybkościomierza nie opada poniżej 110. Pierwszy etap to Bechar. Wymieniamy pieniądze w banku, jemy obiad. Zadawałam się typowym posiłkiem kuchni arabskiej. Kuskus — kasza z odrobiną jarzyn, mięsa, którą polewa się bardzo pikantnym sosem. Full benzyny i kierujemy się w stronę oazy Tarhit. Po drodze kilka kontroli policyjnych, szosa II kategorii, ruch już niewielki, raczej samochody dostawcze. W pewnej chwili droga opada w dół, a naszym oczom ukazuje się niezwykła panorama. Na tle górskiego łańcucha piasku zieleń oazy z przemierzonym czerwonym kolorem glinianych domków. Tutaj przebiega granica Wielkiego Ergu Zachodniego. Niewiele chyba odbiegają od prawdy Tuaregowie, twierdząc, że piasek jest żdony przynajmniej przez skorupę jajka, bo kiedy schodzę na dół do oazy mam go wszędzie pełno.

Zostawiamy oazę kierując się w stronę Beni Abbes. Tu krajobraz jest już odmienny, kamienista równina. Mapa mówi, że kilka kilometrów od oazy należy skręcić z szosy w lewo na polny trakt. Ponieważ zbliża się już wieczór, a tych polnych dróg jest sporo, nie ryzykujemy, i chociaż wiemy, że musimy zrobić podwójnie długą drogę, jedziemy dalej szosą asfaltową. Właśnie tego rodzaju, z reguły nie uczęszczane drogi polne, stają się często tragicznymi pu-

łapkami dla nierozważnych turystów.

GORZKA CENA

Na płaskowyżu Tassili i masywie górskim Hoggar sięgającym ponad 2900 metrów. Na Saharze umiera się nie tylko od upału, ale i z zimna. Temperatura w ciągu doby spada z +60°C do -15°C. Niedawno ekspedycja zachodnoniemiecka przeżyła w tym rejonie burzę śnieżną. Jeden z członków wyprawy zamarł z śmiercią. W 1958 r. zmarł z pragnienia, niespełna 50 km od oazy, jeden z większych znawców Sahary, angielski naukowiec, arabista Refkowsky. Taki sam smutny los spotkał zachodnoniemieckich turystów w Mauritanii, którzy w 1973 r. wybrali się na dwudziesto- czy trzydziestokilometrową wycieczkę. Dwóch z nich zmarło z pragnienia. Trzeciego zdążono wyratować.

2 marca 1968 r. z miasteczka Agadez w Nigrze wyjechała w kierunku Dirkou ciężarówka wioząca 21 osób. 62 barany i jeszcze trochę towaru. Pojazd, podobnie jak wszystkie inne przemierzające pustynię, był w bardzo złym stanie technicznym. Zużyte opony. Zapasy wody pitnej i do chłodzenia silnika zredukowano do minimum, by ograniczyć balast. 6 marca, cztery dni po wyjeździe, na 200 km przed Dirkou wystrzelują wszystkie po kolei opony wraz z rezerwowymi. Dalsza jazda była niemożliwa. Wyjazd samochodu z Agadezu nie został zgłoszony w policji. Nikt też nie zorientował się o zaginięciu ciężarówki. Jeden z pasażerów zdecydował się ruszyć samotnie przez pustynię w poszukiwaniu pomocy. Cudem doznał ów Nigerczyk do Dirkou, gdzie zaalarmował władze. Natychmiast wyruszył w tamtą stronę patrol wojskowy, który po kilku godzinach osiągnął ciężarówkę. Tylko trzech pasażerów jeszcze żyło, ale i ci wnet zmarli. Siedmiu z nich nigdy nie odnaleziono. Zaginęli w pustyni lub jak mówią niektórzy, zostali zabici przez straszliwych wojowników Taubou, którzy według swoich praw nie mogą ożenić się do czasu, gdy nie zgładzą przynajmniej jednego przeciwnika. Człowiek, który dotarł do oazy, pozostał jedynym przy życiu. Jednak psychika jego nigdy nie wróciła już do normy.



Wojownik tuarecki